

Krwawy
fiolet

Tytuł oryginału
Bleeding Violet

Original English language edition copyright © 2010 by Dia Reeves

Published by arrangement with Simon Pulse, an imprint
of Simon & Schuster Children's Publishing Division.
All rights reserved. No part of this book may be reproduced
or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical,
including photocopying, recording or by any information storage and
retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Polish language translation copyright © 2011
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”

Projekt okładki *Marta Weronika Żurawska-Zaręba*
Cover photo © Thandra/Dreamstime.com

DIA
REEVES

Krwawy
fiolet

Przełożyła
Krystyna Chodorowska

Nasza Księgarnia

*Dla Glendy – mojej matki,
która zawsze pozwalała mi być sobą*

Podziękowania

Chciałabym podziękować Susan Lynn Byerly Smith, nie tylko za jej nieocenioną pomoc jako czytelnika wersji alfa, ale także za pomysł na tytuł książki – choć uważam, że wersja *Po drugiej stronie wariatkowa* też brzmi nieźle (dzięki, mammo!). Dziękuję także mojej pierwszej agentce Michelle Andelman za to, że postanowiła zaopiekować się nikomu nieznaną autorką (zawsze chciałam to powiedzieć!). Dziękuję też Michaelowi del Rosario za to, że pomógł mi uczynić tę powieść bardziej wyrazistą, a do tego wiedział, że niektórzy ludzie – na przykład ja – naprawdę mają zielonkawę żyły. Dziękuję też Valerie Shei – wprawdzie sama jestem bardzo drobiazgowa, jeśli chodzi o poprawne użycie słów, ale ona jest jeszcze drobiazgowsza (wiem, że nie ma takiego słowa :p). Uściski dla moich znajomych z forum Blueboard, zwłaszcza dla Amy Spitzley, Brada „Tego Brada” White’a i Elaine „Groszek” Alexander – trojga ludzi, którzy doprowadzili sztukę bajeru do niespotykanej perfekcji. I jeszcze dla Sylvii Nordeman! Dziękuję za to, że przez cały czas zachowałaś moją sekretną pracę w tajemnicy i wysłuchiwałaś opowieści o różnych okropnościach – wiesz, o czym mówię, ćśśś! Chciałabym wreszcie złożyć specjalne podziękowania całej rodzinie: Reevesom, Costellom, Mundine’om i Runnelson. Dziękuję za to, że pozwoliliście mi się zachowywać tak dziwnie, jak to było konieczne.

Rozdział pierwszy

Kierowca ciężarówki zatrzymał się na ulicy Lamartine, po stronie nieparzystych numerów. Po raz pierwszy w życiu odwiedziłam rodzinne miasto matki i też czułam się nie do pary. Tylko pomyśleć – przez pierwsze siedem lat życia mieszkałam na innym kontynencie, a teraz jej dom znajdował się tuż obok – zaledwie kilkaset metrów stąd.

Niewiarygodne.

Dlaczego nie poprosiłaś kierowcy, żeby wysadził cię tuż przed właściwym budynkiem?, spytał z irytacją tatko, tak jakby to on teraz wypatrywał właściwej tabliczki w ciemnościach.

– Muszę się do niej podkraść – wyszeptalam, nie chcąc zakłócać nocnej ciszy – inaczej pęknie mi serce.

Jaki jest numer domu?

– 1821 – odparłam, mijając skrzynki na listy w kształcie zamków i pirackich okrętów z namalowanymi numerkami. Wyłowiłam z plecaka kieszonkową latarkę, żeby je odczytać. Na ulicy świeciło niewiele latarni, a niebo zasnuwały teraz ciężkie, smoliste chmury, zasłaniając pomocny blask księżycy.

Portero to niewielkie miasteczko leżące we Wschodnim Teksasie, na obrzeżu lasu Piney Woods; wszędzie widać splecione korony wielkich dębów i sosen. Ale tutaj, przy Lamartine, drzewa zostały ujarzmione – otoczone ozdobnymi parkanami i obwieszane huśtawkami.

– Ładnie tutaj, prawda?

Podjezwanie ładnie, zgodził się tatko. Gdzie są rzeźnie? Ropa wylewająca się z każdej dziury w ziemi? Gdzie ogień i siarka?

– Nie bądź złośliwy, tatku. Założę się, że nie jest wcale taka zła.

Nie? Głos tatka zabrzmiał niepokojąco, jak zawsze gdy mówił o matce. Różane krzewy i ozdobne skrzynki zupełnie nie pasują do jej natury. Nigdy nie sądziłem, że zamieszka w takim miejscu. To nie w jej stylu.

– Może się zmieniła?

Ha!

– A zatem pomogę jej się zmienić – odparłam, mijając skrzynkę w kształcie kurczaka. – 1817.

Czyżby było już tak blisko?

Kilka kroków później znalazłam się już bliżej niż blisko – na miejscu. 1821.

Dom matki wznosił się na środku wielkiego trawnika. Inne budynki stały w oddaleniu, jakby nie chciały mieć z nim nic wspólnego, żaden nie przylegał nawet do garażu. W ogródku rosło samotne drzewo – ambrowiec balsamiczny – nagie i brzydkie, w niczym nie przypominało bujnych, rozłożystych okazów u sąsiadów. Jej skrzynka była prosta i zwyczajna, a parkan otaczający działkę – wysoki i nieprzyjazny.

Aha!, stwierdził tatko z mściwą radością. *To rozumiem.*

Udając, że go nie słyszę, przekroczyłam bramę i wspięłam się po schodkach na taras. Drzwi z moskitiery nie były zamknięte – nie dostrzegłam nawet zamka – więc weszłam na ciemny ganek i usiadłam na fotelu ogrodowym stojącym po lewej. Siedziałam tam przez dłuższy czas, próbując złapać oddech. Wdech, wydech. Wdech...

Marnujesz czas, Hanno.

Przycisnęłam dłonie do brzucha, próbując opanować nerwowe skurcze. Spojrzałam na ciemny prostokąt drzwi wejściowych, myśląc o tym, co znajduje się po drugiej stronie.

– Myślisz, że ucieszysz się na mój widok? – spytałam. – Choć trochę?

Jeśli w tej chwili nie zmienisz nastawienia, to na pewno nie. Gdzie się podział twój hart ducha?

– A jeśli nie uwierzy, że jestem jej córką?

Wyglądasz jak skóra zdarta z Rosalee, mówiłem ci to setki razy. A teraz przestań marudzić i idź się przedstawić.

Tatko zawsze wiedział, jak przywołać mnie do porządku.

– Racja – odparłam zdecydowanie. Wyglądziłam sukienkę, zarzuciłam plecak na ramię, podeszłam do drzwi i uniosłam pięść, żeby...

NIE!, tatko krzyknął tak głośno, że zadźwięczało mi w głowie. *Nie pukaj. Jest już po północy. Obudzisz ją, a tuż po przebudzeniu bywa bardzo zła.*

– Jak bardzo? – spytałam, przykładając dłoń do obolałej skroni.

Tak bardzo jak ty.

Oho.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć budziłam się sama, nawet bez pomocy budzika, ale jeśli wyrwano mnie ze snu... zachowywałam się nieciekawie. Podobno odziedziczyłam tę cechę po matce.

Ekstra.

Po prostu wejdź. Rady tatka zawsze były niewzruszone jak skała. *Przecież to prawie twój dom.*

Przyklekłam na tarasie, czując, jak deski wbijają mi się w gołe kolana, i uniosłam wycieraczkę. W świetle latarki załśnił mały klucz z brązu.

Zapasowy klucz.

– Takie rzeczy to tylko w małym miasteczku – szepnęłam i chwyciłam go zachłannie.

Otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka.

Pośrodku pokoju widniała czerwona lampa stojąca, do której przymocowano reflektorki. Jeden z nich świecił chłodnym światłem, tak jakby matka spodziewała się, że przyjadę, i specjalnie nie wyłączała go na noc.

Nie licząc czerwonej chryzantemy w szklanym wazonie na kominku i czerwonej poduszki rzuconej na jedyny fotel, tuż obok lampy, salonik urządzono w bieli i błękitach.

Bardzo nowoczesny styl, taki jaki lubił tatko...

Wciąż lubię, dodał.

...dlatego natychmiast poczułam się jak w domu.

Poczułam też nadzieję.

Wsunęłam zapasowy klucz do kieszeni sukienki i wkroczyłam w krótki korytarz, słuchając, jak obcasy melodyjnie postukują na drewnianej posadzce. Kolejno przyłożyłam ucho do każdych drzwi, aż w końcu zza trzecich doleciał równy, głęboki dźwięk.

Oddech matki. Delikatny i spokojny, całkiem jakby powietrze, które wciągała do płuc, było tu czystsze niż gdzie indziej.

Przez chwilę stałam w progu, próbując dopasować swój rytm oddechu do niej, aż w końcu zaczęło mnie szczypać w uszach z wysiłku.

W zamyśleniu dotknęłam mosiężnej klamki.

Nie, już ci mówiłem, odparł z uporem tatko. Musisz sprawić, by sama do ciebie przyszła.

– Mam pomysł – szepnęłam w odpowiedzi.

Przeszłam do kuchni i znalazłam włącznik światła tuż za drzwiami. Kuchnia, podobnie jak salonik, była utrzymana w kolorystyce biało-niebieskiej. Jedyny barwny akcent zapewniało czerwone krzesło i moja fioletowa sukienka.

Postawiłam plecak koło krzesła i rozejrzałam się wokół. W końcu znalazłam talerze, pieczywo i żółty ser. Zabrałam się do robienia grzanek z serem i celowo nie starałam się zachować ciszy. Właśnie przejechałam ponad sto mil, łapiąc na stopa trzy rozlatujące się gruchoty i jednego tira-cysterne, tylko po to, by rozkoszować się obecnością mamy, ale ona zjawiła się dopiero, gdy wykladałam jedzenie na talerz.

Babcia Annikki powiedziała mi kiedyś, że człowiek, który spojrzalby w twarz Boga, natychmiast padłby martwy. Patrząc w twarz matki – po raz pierwszy w życiu – zastanawiałam się, czy to dlatego, że Bóg jest piękny.

Odziedzyczyłam po niej sylwetkę w kształcie klepsydry, ten sam orzechowy odcień cery i identyczną burzę loków. Moje miały jednak kapryśny odcień brązu, tymczasem włosy matki były czarne jak noc.

Włosy wyspiarek, szepnął z podziwem tatko.

Sunęła w moim kierunku, bosa, ubrana w czerwoną koszulę nocną, i zdawało się, że samą obecnością zakrzywia przestrzeń wokół. Jej wargi były zacięte, naturalnie różowe i pełne. Tak jak moje. Kąciki ust opadały, nadając nam nieco rozpieszczony wygląd.

– Włamałaś się do mojego domu tylko po to, by zrobić sobie kolację? – wycodziła. Mocny teksański akcent sprawiał, że każdy sylaba ciągnęła się niczym guma do żucia. – Mam nadzieję, że to tylko sen, dziewczynko.

– To nie sen. Jestem twoją córką.

Przyłożyła dłonie do piersi i zacisnęła je na koszuli, w miejscu gdzie biło serce. Poza tym nawet nie drgnęła. Jej oczy, czarne jak smoła, zmierzyły mnie ostrym spojrzeniem.

– Moja córka jest w Finlandii – wyszeptwała z niedowierzaniem.

– Już od lat mieszkam w Stanach. A teraz przyjechałam tutaj. – Wyciągnęłam ręce, żeby jej dotknąć albo ją uścisnąć – każdy kontakt byłby cudowny – ale cofnęła się, a jej zacięte usta skrzywiły się lekko, gdy wymówiła moje imię:

– Hanna?

– Tak.

– Boże! – jęknęła, jakby sama mnie rozpoznała. – Oczywiście masz po ojcu.

– Wiem – odparłam, wciąż chłonąc podobieństwa między nami. – Ale niewiele poza tym.

Rosalee odwróciła się ode mnie, szarpiąc się za włosy, jakby chciała je wyrwać.

– Dlaczego przyjechałeś tu w środku nocy? I to sama? Ojciec ci na to pozwolił? Odbiło mu?

– Zmarł w zeszłym roku.

Kobieta cofnęła rękę i włosy opadły jej na twarz. Nawet jeżeli pojawił się na niej wyraz żalu czy smutku, to go nie widziałam. Po dłuższej chwili ominęła mnie i podeszła do okna.

– Jeśli zmarł w zeszłym roku, to dlaczego przyjechałeś dopiero teraz? Skąd wiedziałas, gdzie mnie szukać?

Usiadłam na czerwonym krześle, którego kolor straszliwie gryzł się z fioletową suknią.

– Znalazłam w biurku tatka pocztówkę, którą do niego wysłałaś. To było dziewięć lat temu, miesiąc przed naszą przeprowadzką do Stanów – wyjaśniłam.

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam poźółkłą widokówkę. Po jednej stronie znajdowało się zdjęcie placu Fountain Square, gdzieś w Portero. Po drugiej wypisano nasz stary adres w Helsinkach i jedno jedyne słowo: „NIE”.

Pokazałam jej kartkę.

– O co chodziło?

Rosalee spojrzała na pocztówkę, ale nie wzięła jej do ręki. Oparła się plecami o szybę i stała na tle ciemnego nieba.

– Już nie pamiętam, czego chciał twój ojciec. Może pytał, czy za niego wyjdę albo czy przyjadę, albo czy was kocham. A może o wszystkie te rzeczy. Odpowiedziałam „nie” na wszystkie.

Odłożyłam kartkę.

– Kiedy wraz z tatkiem przeprowadziliśmy się do Dallas, tuż po przyjeździe poszłam do biblioteki publicznej i sprawdziłam twoje nazwisko w książce telefonicznej Portero.

Pamiętam, że poczułam dreszcz, gdy zobaczyłam jej imię i nazwisko w druku i przekonałam się, że Rosalee Price naprawdę istnieje, a nie jest jedynie legendą, którą wymyślił tato, żeby mnie pocieszyć.

– Zapamiętałam twój adres i numer telefonu. Przez dziewięć lat recytowałam je w myślach przed zaśnięciem jak kołysankę. Dopóki tato żył, nie próbowałam się z tobą kontaktować, bo ostrzegął, czym to się może skończyć. Dlatego dzisiaj przyjechałam prosto do ciebie – żebyś nie mogła mi odmówić.

Rosalee wpatrywała się we mnie, zastygła w bezruchu niczym wąż, najwyraźniej nieporuszona przemową.

– U kogo zamieszkałaś, gdy zmarł ojciec?

– U ciotki Ulli, jego siostry.

– A ona wie, że tu jesteś?

– Nawet stopy mamy identyczne.

– Co?

Zdjęłam fioletowe czółenka i pokazałam jej swoje chude stopy, z długimi palcami i wysokim podbiciem.

– Pytałam o twoją ciotkę. – Rosalee pozostała nieustępliwa.

Wpatrywałam się w nasze bose stopy, tak blisko siebie, złożyste na tle lodowatej posadzki w kuchni.

– Nie wiedziałam, że jestem do ciebie podobna. Ale tato zapewniał, że tak. Wiedziałam tylko, że nie przypominam ni-

kogo z jego rodziny. Oni wszyscy są wysocy, mają jasne włosy i bladą cerę, jak lisy polarne. Ja jestem wysoka, ale nie aż tak, mam ciemne włosy i skórę brązową jak cukier trzcinowy. Tak jak ty. Babcia Annikki mówiła, że gdyby nie szare oczy, to nikt nie uwierzyłby, że należę do rodziny. To prawda – należałam do nich, ale należę też do ciebie. Bardzo chciałabym się dowiedzieć czegoś o tobie.

Nie udawaj Pollyanny. Nie zrobisz na niej wrażenia, ostrzegł tatko.

A jednak zrobiłam. W miarę jak mówiłam, Rosalee znów zaczęła na mnie zerkać. Jej zainteresowanie wydawało mi się niepokojące, ale i tak lepsze niż otwarta wrogość.

– Tatko opowiedział mi parę rzeczy. Mówił, że jesteś bardzo piękna, ale zaraz potem zaczynał cię przeklinać i powtarzać, że nie masz serca. Dlatego czasem wyobrażałam sobie ciebie jako Kopciuszka zombie – bladą i zielonkawą w pięknej sukni. Masz jakąś balową suknię? Jeśli nie, to mogłabym ci uszyć. Uszyłam wszystkie swoje ubrania, tę sukienkę też. Urocza, prawda? – Wstałam, żeby mogła ją obejrzeć. – Czuję się w niej zupełnie jak Alicja. A jeśli ja jestem Alicją, to Portero jest Krainą Czarów, a ty Białym Królikiem – bardzo chciałabym cię odnaleźć, ale wciąż mi umykasz.

– Dlaczego masz krew na sukience?

A zatem stąd jej przenikliwe spojrzenie. Wcale nie interesowała się mną ani tym, co mówię, tylko plamami krwi. Spojrzałam na dwie ciemne smugi w okolicy talii.

Pollyanna w zakrwawionej sukience, stwierdził z politowaniem tatko. *Mówiłem, żebyś się przebrała.*

Znów opadłam na krzesło, czując, jak obfite spódnice wirują wokół kolan, i nie pozwalając, by pesymizm tatka zbił mnie z tropu.

– Dlaczego uważasz, że to krew? To może być cokolwiek, choćby ketchup.

– To nie ketchup – wycedziła Rosalee. – I nie jesteśmy w Krainie Czarów. To Portero. Potrafię rozpoznać krew.

W milczeniu chrupałam grzanekę.

– Czyja to krew?

Powiedz jej, zachęcał tatko. Gwarantuję ci, że się nie przejmie.

– Ciotki Ulli – przyznałam. – Uderzyłam ją wałkiem w głowę.

Ostrożnie zerknęłam na twarz Rosalee. Nic.

Mówiłem ci.

– I co? – ponagliła.

Naprawdę chciała usłyszeć szczegółowy opis?

– Jej krew trysnęła wszędzie wokół, zachlapała mi oczy i sukienkę. – Zamrugałam na samo wspomnienie. – Strasznie zapiekło. – Dotknęłam lekko płam. – Próbowałam je sprać, ale najwyraźniej...

– Hanno – mimo apatycznego nastroju Rosalee zwróciła się do mnie z niezwykłą troską, jakbym zamieniła się we wściekłe zwierzę, którego nie chciała sprowokować – czyżbyś zabiła swoją ciotkę?

Zjadłam resztę grzanki i oblizałam tłuszcz z palców.

– Chyba tak.